ROZMAITOŚCI.



Dnia 11 lipca, Nr 28. roku 1846.

PIOTR VALEAS.

Pałac Rochmère, przy jednéj z najpiękniejszych ulic przedmieścia *St. Germain* w Paryżu, już od wielu lat opuszczony, ponury i milczący, stał się od kilku dni widownią nadzwyczajnie żywéj skrzętności, która uwagę i zadziwienie całego sąsiedztwa na się zwróciła.

Stary margrabia de Rochemère należał niegdyś do najświetniejszych kawalerów dworu Ludwika XIVgo. Od młodości swojéj z królem zażyły, umiał tę przyjaźń śród wszelkich zmian czasu i dworskich intryg niezmienną sobie zachować; byłby więc mógł z łatwością dostąpić najwyższych stopni dostojeństw, lecz bądźto przez swoję roztropność, bądź opieszałość, nie mieszał on się nigdy do polityki, i nie poniżając się do służalczego pochlebstwa, utrzymał się w jednostajném poważaniu u monarchy, którego rządy tylu różnorodnym wpływom podlegały.

W czterdziestym roku życia zaślubił margrabia równie ładną i młodą jakoteż i rozsądną panienkę. Ku niemałemu podziwieniu swoich przyjacioł, wybrał on ją z rodziny, wprawdzie już zdawna z rodziną margrabiego zaprzyjaźnionéj, lecz przy wszelkiéj starożytności jéj domu, bardzo ubogiéj; a nikt nie był w stanie odgadnąć, czy ten wybór pochodził z rzeczywistéj skłonności serca, czy téż z jakiego wyrachowania. Przedstawiona u dworu, sprawiła młoda margrabina de Rochemère powszechne wrażenie, lecz jeźli jéj piękność zjednała jéj wielu wielbicieli, tedy szlachetność jéj duszy zniewalała nawet mniéj skromniejszych do uszanowania. Wkrótce dóm margrabiny stał się w stolicy jednym z najbardziéj odwidzanych i ulubionych; miano sobie za wielki zaszczyt należéć do jego częstszych gości, zwłaszcza iż pan domu w ich wyborze bardzo był ostrożnym.

Zaraz w pierwszym roku zamęźcia powiła margrabina ładnego synka, a ta okoliczność powiększyła jeszcze bardziéj domowe małżonków szczęście, które téż w ciągu kilku lat najmniejszéj nie doznało przerwy. Naglę jednak zdało się, jakoby ciężki smutek w tym tak zresztą szczęśliwym domu zamieszkał. Margrabia wyglądał posępnie, margrabina nito jakąś tajemną chorobą trawiona, straciła dawną żywość kolorów i swobodę. Po niejakim czasie rozeszła się wiadomość, iż margrabia w zleconém przez króla posłannictwie do Hiszpanii odjeźdźa. Dziwiono się powszechnie, że tak późno odezwała się w nim żądza świetnéj godności, i szukano w tém innéj ukrytéj pobudki. Lecz wszelkie usiłowania ciekawości, były daremne. Margrabia nadmieniał jedynie, że ta podróż do cieplejszego kraju jest potrzebną dla pokrzepienia nadwątlonych sił fizycznych jego małżonki. Odjechali więc wraz z swoim synkiem, a świat wkrótce zupełnie o nich zapomniał.

Po kilku latach wrócił margrabia do Paryża, ale bez żony; zostawił on ją z synem w Hiszpanii. Za przyczynę tego rozstania podawał margrabia zdrowie swojéj żony, któremu klimat południowy pomyślnie służył, podczas gdy sam margrabia upałów w Hiszpanii znosić nie mógł. Zresztą nie zajmowano się u dworu bliżéj tą sprawą, jakoteż nie dziwiono się

temu, że margrabia swój pałac na przedmieściu *St. Germain* opuścił i do małego mieszkania w jednéj z odleglejszych dzielnic stolicy się sprowadził.

W tém nowém mieszkaniu żył margrabia zupełnie od świata odosobniony, mając przy sobie tylko jednego starego sługę, który od czasu powrotu z Hiszpanii ponure zachowywał milczenie. Poorane zmarszczkami lica margrabi, jego słaby, wlokący się chód, oznajmiały wyraźnie, iż mu zdrowie nie długo już posłuży. Ztémwszystkiém żył margrabia jeszcze przez długie lata w téj dobrowolnéj samotności, któréj przez cały ten przeciąg czasu żaden przyjaciel, żaden gość nie rozweselił.

Témbardziéj zdziwiło to sąsiadów, gdy pewnego wieczora przed odludne mieszkanie margrabi, niewielki podróżny powóz o dwóch koniach, szybkim pędem zajechał. W tejże saméj chwili wysiadł z niego jakiś mężczyzna, zapukał mocno do drzwi, i wstąpiwszy do środka, wyszedł niebawem w towarzystwie margrabiego, który z nim razem wsiadł do powozu. Po dwóch godzinach wrócił margrabia do ustronnego mieszkania sam jeden. Nazajutrz wyprawił gońca do Hiszpanii, który wiózł z sobą następującą depeszę:

»Margrabino!

Niegodziwiec, który panią przede mną zpotwarzył, właśnie co umarł; lecz przed śmiercią starał on się wezwać mię do siebie i wyznał swój nikczemny postępek. Przebaczyłem mu, aby również i od pani otrzymać przebaczenie, którego ledwie spodziéwać się mogę, a bez którego życie byłoby mi ciężarem. Jeżeli serce pani zdolne jest uczucia litości, chciéj powrócić do mnie, i przywieź mi z sobą swojego syna. Byłbym chętnie sam przyjechał po panią, lecz zdrowie moje nie dozwala mi szczęścia tego.

Margrabia de Rochmère.«

Wiémy już tedy, co było powodem rozłączenia się małżonków. Podły człowiek, którego hołdami margrabina wzgardziła, odważył się oczernić ją przed margrabią. Przemyślnie ułożone kłamstwo wprawiło małżonka w mniemanie, iż żona jego przeciw niemu wykroczyła. Dla uniknienia głosów świata, postarał się margrabia, aby go w sprawach rzadowych do Hiszpanii wysłano. Tam zostawił on margrabinę z synem w pewném małém miasteczku w Galicyi, a sam udał się do Madrytu, zkąd po niejakim czasie, nie widziawszy już powtórnie żony i syna, znowu do Francyi wrócił. To jednak zakrwawiło mu serce, i odtąd całe życie jego upływało bez pociechy.

List margrabiego zastał margrabinę w stanie osłabienia, a niespodziana radość wywarła tak gwałtowne wzruszenie, iż niepodobieństwem było, aby zaraz podróż do Francyi przedsięwziąć mogła. Długie rozłączenie, spędzone w nieustannym smutku, którego uczucie niewinności w żaden sposób ukoić nie zdołało, wyniszczyło wszelkie jéj siły fizyczne. Sama tylko jakkolwiek niepewna nadzieja zmiany okoliczności, sama tylko niewygasła miłość dla swego męża, wreszcie troskliwe starania o syna — zdołały jeszcze utrzymaćją dotąd przy życiu. Oddawała się jedynie wychowaniu swojego syna, a za pomocą hiszpańskiego oficera, który w niedawnéj wojnie o hiszpańską sukcesyję zaszczytnie się odznaczył, powiodło się jéj wykształcić rzadkie zdolności, jakiémi natura młodego margrabiego obdarzyła; i tylko pomyślnemu skutkowi tych starań była margrabina winna niejaką pociechę w swém nieszczęściu.

Młody Karol de Rochmère wyrósł był w tym przeciągu czasu w hożego, przystojnego młodzieńca, mającego około lat dwudziestu, wprawnego we wszystkie ćwiczenia ciała. Uczuł on wielką radość, dowiedziawszy się od matki, iż ją margrabia do siebie powołał,— któratо radość tylko tém nieco przyćmioną została, iż sam jeden odjechać musiał. Atoli słysząc, że jego podróż jest potrzebną do szczęścia matki, poddał się chętnie konieczności, i wybrał się w drogę. Pani de Rochemère odpisała mężowi:

»Margrabio!

Dziękuję Bogu, iż po tylu cierpieniach zesłał mi promień pociechy, jakiéj się

już nie spodziewałem. Ubolewając nad obłędem, który cię nagabał do tego sposobu postępowania ze mną spowodował, nie przyszło mi nigdy na myśl uskarżać się na nieszczęście, które nas oboje zarówno ciężko dotknęło. Nareszcie Bóg cię oświecił, i on też niech dziś wraz z nami przebaczy winowajcy. Opłakany stan mego zdrowia nie dozwala mi powrócić natychmiast do Paryża. Dlatego wysyłam naprzód syna, i mam nadzieję wkrótce tam za nim zdążyć.«

Lecz biedna margrabina nie miała rzeczywiście téj radości, jaką tu przed mężem wyrażała, gdyż czuła ona w sobie, że nigdy już Francyi nie obaczy. Odjechał więc sam Karol, pożegnawszy się rzewnie z matką, która błogosławieństwa niebios u Boga dlań błagała.

Na cześć przybycia syna sprowadził się był margrabia do dawnego, rodzinnego pałacu na przedmieściu *St. Germain.* Tłum robotników przywrócił wszystko do poprzedniego stanu okazałości, a stary margrabia nie żałował największych wydatków, aby synowi jak najpyszniejsze przysposobić mieszkanie, któreby dotychczasową wynagrodziło mu niedolę.

Młody Rochenère puścił się w podróż konno; wpół drogi zaś wypadło mu wziąć powóz, którym już łatwiéj mu było dalszą odprawić podróż. Niedaleko u celu, wysłał Karol do margrabiego gońca, oznajmiając mu dzień swego przybycia.

Ten długo upragniony dzień nadszedł nareszcie. Pan Rochenère oglądnął raz jeszcze wszelkie na przyjazd syna poczynione urządzenia, ale zawsze jeszcze znalazł jakąś myśl nową, która natychmiast musiała być wykonaną, a to wszystko miało służyć jedynie do uspokojenia jego gwałtownéj tęsknoty. Naraz po pustéj jeszcze zrana ulicy, zatętnił turkot powozu, który tuż przed bramę pałacową pędem zajechał. Za chwilę objęli się syn i ojciec w czułe uściśnięcie.

Trudno opisać radość starego margrabiego, który opuściwszy syna przed laty małém, słabowitém dziecięciem, ujrzał go teraz dorosłym, silnym młodzieńcem. Jakoż nie mógł on się nacieszyć jego widokiem, i wypytywał go nieustannie to o matkę, to o jego wychowanie, to o zwyczaje i życzenia jego. Na to wszystko odpowiadał młody margrabia z niejaką wymuszoną powściągliwością, którą uszczęśliwiony ojciec brał za nieśmiałość i przymiot skromności. Wieczorem odbyła się w hotelu Rochenère suta uczta, przy któréj wszystko, co tylko u dworu znaczeniem i wytwornością słynęło, uszczęśliwionemu ojcu serdeczne składało życzenia. Karol de Rochenère zdawał się w pośrodku tego świetnego towarzystwa być nieco zakłopotanym, lecz wszyscy przebaczali to chętnie młodzieńcowi, który się zdala od Paryża i wielkiego świata wychował, i z tegoż względu uprzejmie go we wszystkiém uprzedzali.

Korzystając z tak łaskawego przyjęcia, nie omieszkał téż Karol używać wszelkich przyjemności towarzyskiego życia i wykształcił się wkrótce na człowieka światowego i bardzo wszędzie ulubionego. Margrabia, uradowany tém powodzeniem syna, nie zapomniał przecież, iż jeszcze jednéj osoby do ich szczęścia nie staje. Codziennie przeto nalegał na syna, aby się wybrał w drogę po matkę, ale syn umiał codziennie przeciw temu jakąś znaleźć wymówkę. Z początku przypisywał to margrabia piérwszemu upojeniu się życiem wielkiego świata, późniéj dziwił się téj oziębłości, a wreszcie nic o tém nie wspomniał. Natomiast napisał starzec potajemnie do margrabiny, i prosił ją, aby swój przyjazd ile możności przyspieszyła. Jednakże margrabina nie mogła żadną miarą temu życzeniu odpowiedziéć, i przyrzekła przybyć aż dopiéro wtedy, gdy jéj zdrowie, już cokolwiek pokrzepione, zupełnie się umocni.

Wiadomy jest stan obyczajów za czasów Ludwika XIVgo, i nikt się zapewne dziwić temu nie będzie, iż młody Rochenère puścił się tąż drogą zepsucia. Był on wkrótce zawołanym modnisiem, a jego nadzwyczajne szczęście u kobiét, byłoby mogło wzbudzić zazdrość u jego przyjaciół, gdyby oni wszyscy témże samém szczęściem się nie chlubili. Znalazła się przecież kobiéta, która hołdami Karola

de Rochemère pogardzić umiała. Byłato tancerka przy operze, imieniem Juana, urodzona na granicy hiszpańskiéj, w Bearn, słynąca z nadzwyczajnéj piękności. Kochał się w niéj jeden z przyjaciół młodego margrabiego, a to dało Karolowi powód widywania niekiedy nadobnéj baletniczki. Niemałe było jéj pomieszanie, gdy go piérwszy raz ujrzała, wkrótce jednak odzyskała zwykłą wesołość umysłu, i zaczęła bardzo obojętnie z nim się obchodzić. Karol chcąc się za to zemścić, okazywał się wszędzie jéj otwartym nieprzyjacielem, i sprzeciwiał się jéj przy każdéj sposobności. Lecz Juana była zawsze równie dlań obojętną, i nie dała się wzruszyć ani jego gniewem ani hołdami.

Razu jednego, po żywszéj jeszcze niż zwykle waśni, Karol, rozdrażniony oziębłością swéj przeciwniczki, uniósł się tak dalece, iż jéj uczynił zarzut, jakoby się ona kosztem swoich przyjaciół zbogacała. Juana odrzekła mu z gorzką ironiją:

»Zarzut twój, panie de Rochemère, jest niegodnym p r a w d z i w e g o szlachcica. Ci, których ja, jak pan powiadasz, ogałacam, przynajmniéj wszyscy żyją.«

Niektóre słowa téj odpowiedzi wymówiła Juana ze szczególnym przyciskiem. Postrzeżono też, iż młody margrabia wielce się zmieszał, lecz w téjsaméj chwili znowuż się uspokoił, i ze śmiechem tancerce odpowiedział. Nazajutrz została Juana uwięzioną, i w Fort-l'Evêque zamkniętą.

Tegoż jeszcze samego wieczora wszedł oddział żołnierzy do pałacu Rochemère, oznajmiono staremu margrabiemu urzędnika, który w ważnéj sprawie chciał natychmiast z nim pomówić, a po długiéj naradzie oddalił się urzędnik z pałacu, uprowadzając z sobą młodego margrabię, którego niezwłocznie w Bastyli osadzono. Wkrótce cały wypadek wyszedł na jaw. Okazało się, iż mniemany Karol de Rochemère przywłaszczył sobie nieprawnie imię i tytuł prawdziwego syna margrabi, którego zamordował. Właściwe nazwisko tego mniemanego syna margrabi, było Piotr Valeas; był on zwykłym przewodnikiem podróżnych w Pirenejach, i za takiegoż wziął go prawdziwy Karol de Rochemère dla bezpiecznego gór przebycia. W drodze umiał Piotr Valeas pozyskać zaufanie młodego hrabiego, i zaprowadziwszy go w odludne ustronie, zamordował go, zabrał mu jego papiery, zdjął z niego suknie, i wrzucił trupa w przepaść, która całą tajemnicę nazawsze przed światem ukryć miała.

Wszystko to zdarzyło się w okolicach rodzinnego miejsca Juany, córki sąsiedniego włościanina, która Piotra Valeas niekiedy tamże widywała. Gdy Valeas do Paryża przybył, postrzegła ona go tam w nowéj jego postaci, i poznała natychmiast. Niedługo po tém odkryciu wypadło jéj wrócić na krótki czas do swéj rodziny, gdzie z zadziwieniem usłyszała, iż Piotra trupem w przepaści znaleziono, i tylko go po jego sukniach, które on zabitemu młodzianowi przywdział, poznano. Teraz dopiéro pojęła Juana całe zdarzenie, lecz wahała się zrazu wystąpić otwarcie przeciw mniemanemu synowi starego margrabi; wszakże gdy on w skutek wspomnionego powyżéj wypadku, rozkaz uwięzienia jéj pozyskał, zniewoliło ją to do wykrycia tajemnicy. Z początku nie dowierzano jéj wyznaniu; wkrótce jednakże okazały się tak oczywiste dowody, iż sędziowie dłużéj wątpić nie mogli.

Wszyscy zdumieli się nad śmiałością téj zbrodni. Wszakże oskarzony przeczył uporczywie wszystkiemu. Była tylko jedna osoba, która całą sprawę rozstrzygnąć mogła, to jest pani de Rochemère. Jakoż niezwłocznie posłano po nią, starając się usilnie, aby się o niczém naprzód nie dowiedziała.

Margrabina przybyła bardzo osłabiona do Paryża, i usłyszała z boleścią, iż syna jéj uwięziono. Milczenie Karola, który zawsze tak czuły był dla niéj, teraz zaś ani razu nawet do niéj nie pisał, zdawało się jéj być podejrzaném i świadczyło za słusznością oskarzenia. Musiała się jednak przygotować do ostatniéj, najcięższéj próby swego nieszczęśliwego życia. Stawiona do ócz mordercy, wyjękła tylko: »O, méj biédny synu! Mój biédny synu!« a po-

tém padła bez zmysłów. Nato Piotr Valeas stracił odwagę i wyznał wszystko. Skazano go więc na śmierć, i ścięto na placu *Grève*, w obec niezliczonego tłumu ludności.

Margrabia i jego małżonka, jakby dlatego jedynie znowu się ze sobą obaczyli, aby się w nowém nieszczęściu wzajemnie pocieszać mogli. W pałacu Rochemère osiadł znowu dawny smutek, a jego bramy rozwarły się dopiéro wtedy, gdy po niedługim czasie dwie trumny z nich wynoszono.

Wspomnienie trębacza.

»Tak jest,” rzekł trębacz, wypróżniwszy szklankę, „ja utrzymuję, iż konnica równać się może piechocie, a na dowód tego opowiém wam zdarzenie, którego uczestnikiem byłem!!” — „W Afryce?” spytali rekruci. — „W Atlasie;” odrzekł trębacz. — »No, gadaj trębaczu!”

Nie dając się wcale oto prosić, bo bardzo opowiadać lubił, wsparł się na łokciach na stole — wlepił oczy w powałę, chwilkę podumał, i zaczął:

„Kompanija nasza — wtedy o połowę zmniejszona — w towarzystwie oddziału strzelców konnych, cofała się przed Arabami, liczniejszymi od nas w stosunku 20 do 1. — Zmuszeni byliśmy udać się przez góry, aby nie być zewsząd otoczonymi. Konnica szła naprzód z rannymi, jedynie tém zajęta, aby karku nie skręcić. Tylko urywające się pod naszémi i koni nogami, kamienie, bryły, rzadkiéj czasem wielkości, i toczące się z pędem w przepaść, utrzymywały ścigającego nas nieprzyjaciela w należytém oddaleniu. Pod wieczór jednak, konie kroku daléj postąpić nie chciały, z bardzo naturalnéj przyczyny, bo nie mogły. Nie było co robić, jak tylko na odkrytéj przypadkiem równinie biwakować; szczęściem dla nas, nie było innéj tamże prowadzącéj drogi, tylko wąwóz nadzwyczaj szczupły; nie dochodził on jednak do saméj równiny, i kończył się o małę ćwierć milki oddalenia. Ponieważ to był jedyny punkt, którym Arabowie mogli się do nas wydostać, postawiono przy ujściu wąwozu kilkunastu na pikiecie, między innymi i mnie. Sam kapitan R. objął nad nami komendę. Strzelcy konni i reszta naszéj kompanii rozłożyła się na równinie, umówiwszy się piérwéj z nami, że gdy tylko będą się czuć w stanie puścić w dalszą drogę, zaraz nas o tém uwiadomią; my zaś do téj chwili będziemy pilnować wąwozu. Noc przepędziliśmy z bronią w ręku; nie atakowano nas jednak, gdyż Arabowie nie odmówili sobie przyjemności snu.

Ledwo tylko słońce z poza gór wyjrzało, uczyniliśmy przygotowania do dalszego pochodu, spodziéwając się ciągle uwiadomienia od towarzyszy stojących na równinie. Czekaliśmy długo. Słońce wygórowało i zaczęło mocno dopiekać; już i na drugiéj stronie doliny, na wierzchołkach gór, zaczęły się białe burnusy okazywać, a nikogo z naszych jeszcze widać nie było. Kapitan R. zaczął się niecierpliwić, i wziąwszy mnie i jednego woltyżera ze sobą, posunął się naprzód ku równince, w celu obaczenia, co się z oddziałem tamże rozłożonym dzieje? Gdyśmy się tam dostali, wydaliśmy wszyscy krzyk zadziwienia.... Konnicy ani znaku, znikła, a wraz z nią reszta naszéj kompanii.

„Jesteśmy zupełnie opuszczeni!” zawołał woltyżer. — „Musiało się coś stać nadzwyczajnego lub nieprzewidzianego!” odrzekł kapitan.

W téj chwili spojrzałem w przepaść ograniczającą drogę, i w głębi téjże spostrzegłem trupa strzelca konnego, który wraz z swym koniem tamże był runął. Zwróciłem nań uwagę dowódzcy, który zaraz całą rzecz zrozumiał. Jeździec ten, zapewnie podczas nocy wysłanym został do nas z uwiadomieniem, że w dalszą rusza drogę, a reszta oddziału nie czekając nań z powrotem, odeszła w przekonaniu, że za nimi idziemy.

Gdyśmy tak nad tém rozmyślali, a każden swe mniemanie nad tém zdarzeniem i naszém położeniem wyjawiał, ogień karabinowy wszczął się nad wąwozem, i wnet okazali się nasi towarzysze cofając się przed nacierającymi Arabami. Za mało nas było, abyśmy mogli byli udać się przez równinę i przez cały ten czas zupełnie odkryci, wytrzymać ogień Arabów. Kapitan wiedział to dobrze i zakomenderował: pół obrotu w lewo. — Udaliśmy się uboczną drożyną, zakrytą skałami i drzewami, prowadzącą ku płaszczyznie. Nie wiecie jeszcze, co to jest pochód w górach: tu przepaść, tu urwiska, tu wąwóz, a za tobą wrzeszczy kilkaset dzikich niegodziwców, doskonale strzélających, którzy cię rażą w każdym gór zaułku. Dodaj jeszcze że okolica coraz otwartszą się stawała i że my mniéj trafnie strzélali jak oni. Co krok traciliśmy jednego z naszych — zostawało nas tylko dziesięciu. Kapitan miał twarz obojętną, zimną, i nic innego nie mówił, tylko czasami: „Oszczędzać prochu!” albo: »Celuj dobrze!” Tak się cofając i odstrzéliwając, przybyliśmy do stóp góry; tu jednak nietylko my, ale i kapitan, stanęliśmy przerażeni.... Oddział Arabów zeszedł był inną, a krótszą drogą, i obstawił nam wyjście; dostaliśmy się między dwa ognie.

Kapitan odwrócił się i przerachował nas, nie sfatygował się bardzo, było nas pięciu!

»Do czarta!” rzekł z stłumioną wściekłością. »Tu trzeba wystrzelać nasze ładunki!”

Spojrzałem na moich towarzyszy, nie wiém co oni tam czuli w téj chwili; co do mnie, bolało mnie serce ogromnie, nie ze strachu przed niebezpieczeństwem, ale z gniewu, iż schwytani jak szczury w łapce, przyjdzie nam umrzéć nie jako zwycięzcom. Spojrzałem także na kapitana, który z krzyżowanémi na piersiach rękoma, z pałaszem w pochwie, stał nieporuszony, gniewne oczy w płaszczyznę wlepiwszy.

Wtém krzyknął i palcem w dolinę wskazał: „Konnica!" zawołał. — „Gdzie?" spytano. — „Tam! — na lewo!"

W istocie w tym kierunku kurzawa się wzniosła, oddział jazdy zbliżał się cwałem:

»A do tysiąc diabłów!" zawołał kapitan. »To nasi strzelcy!"

„Co?" spytałem niedowierzając. „Chyba jacyś z ziemi wyrośli, których nam Pan Bóg na odsiecz posyła!" — „Ej, głupstwa pleciesz!" — „Cóż kiedy ich tylko 50ciu!" — „To nic nie szkodzi, — patrzaj!"

Oddział przybywający, w porównaniu z siłą Arabów wyglądał jak szalupa przy ogromnym trzechmasztowym okręcie. Towarzysze nasi spostrzegli nas; na znak wznieśli pałasze nad głowy, zakrzyczeli, i pędem wpadli na Beduinów. — Ach, jak to pięknie wyglądało!" z uniesieniem krzyknął trębacz, a na to miłe wspomnienie dreszcz wewnętrznego ukontentowania, ciało jego przeszedł.

„Mały ten pluton Francuzów," mówił daléj, »zginął między Arabami, jak kula; kurz i dym zasłonił widowisko i przez chwil kilka nic rozróżnić nie mogliśmy; słychać tylko było szczęk pałaszy, krzyk i strzały. Gdy chmurna zasłona opadła, spostrzegliśmy Francuzów przy ujściu wąwozu. — Pięćdziesięciu strzelców konnych, których teraz tylko 30tu zostawało, poraziwszy blizko 300 Arabów, zmusili ich do ucieczki. Powsiadaliśmy z nimi na konie, wcale im nie dziękując. Zawieźli nas do najbliższego blokhauzu, gdzie dopiéro dowiedzieliśmy się, że wszystko się tak stało, jak kapitan R. się domyślał. Towarzysze nasi nie postrzegli, że nas nie ma, aż dopiéro rano, przybywszy na płaszczyznę, wtedy odprowadzili rannych do blokhauzu — a sami powrócili z mocném postanowieniem, umrzéć do ostatniego, byle nas tylko wyratować z rąk Arabów. Wielki téż był czas, aby przyszli; dotrzymali słowa, i dobrze go dotrzymali!"

Rekruci nieobecnym wybawcom trębacza i jego 4ech towarzyszy, rzęsiste dali oklaski.

„Od tego téż czasu," dodał trębacz, napełniając szklankę, „pomimo mego tytułu weltyżera, sam sobie przyznałem, i przy tém obstaję: iż konnica równać się może piechocie. Niech żyje — tak jedna jak druga!" *K. L.*

Miłość swobody.

Pewien młody majętny mężczyzna, mieszkający na granicy węgierskiéj, poznał niedawno między bandą Cyganów młodą, ładną dziewczynę i zakochawszy się w niéj, nabył ją z łatwością za konia i kilka owiec. Wszakże początkowe miłostki zamieniły się wkrótce w miłość prawdziwą; kochanek wziął piękną Cygankę z sobą do swego zamku w Slawonii i postanowił z nią się ożenić. Rodzice jego już nie żyli, on sam był jakeśmy nadmienili, majętnym i zupełnie od nikogo niezawisłym, a lubo jego krewni i przyjaciele od powziętego zamiaru odwieść go usiłowali, przecież wszystkie ich przedstawienia rozbiły się o jego uporczywą namiętność. Ożenił się z ładną Cyganką, i kochał ją tkliwiéj jeszcze niż wprzódy.

Ale pomimo wszelką świetność losu, swobodna wychowanka lasów nie była szczęśliwą i tęskniła śród złota i dostatków. Ile razy mąż się jéj pytał: czemu nie śpiéwa jak wprzódy? czemu oczy jéj nie mają dawnego blasku, usta jéj dawnéj świeżości? — ona tęsknym wzrokiem po niwach i lasach powiodła, i posępnie się uśmiéchnęła. Jeżli jéj mąż na polowanie wyjechał, lub w jaką niedaleką podróż się wybrał, smutna pani domu siadywała po całych godzinach u okna swego pysznego zamku, wpatrując się z niewymowną żałością to w owe kurzem pokryte drożyny, kędy niegdyś boso wędrowała, to w owe sioła, w których tylekrotnie wróżyła. Niekiedy zdawało się jéj, iż słyszy dźwięki tych piosnek, które za dni młodości do snu ją kołysały, a natenczas pierś jéj wzdymała się gwałtownie, oczy ogniem błyskały, aż wreszcie niema, wpół omdlona na krzesło się pochyliła; bo to wszystko było tylko złudzeniem.

Jednakowoż pewnego razu było to czémeś więcéj; biédna pustelniczka w wesołym pańskim pałacu, usłyszała rzeczywiście nutę piosnki, któréj nigdy zapomniéć nie mogła. W niejakiéj odległości przeciągał orszak Cyganów, z których jeden przygrywał wesoło na skrzypcach i śpiéwał:

„Mojémi perłami zęby moje; mojémi brylantami oczy moje, pałające jak błyskawice; łożem mojém zielona ziemia, a domem moim — cały świat! — Wolny sokoł w powietrzu, wolny jeleń na borze, i wolna ryba w wodzie, lecz wolniejszym od nich wszystkich Cygan na szerokim świecie. — Dziewczę, będzieszże śród murów ulęskniało? O, pójdź, dam ci perły i brylanty moje, podzielę z tobą łoże moje, i zamieszkamy razem w naszym świetnym, błękitnym pałacu."

Młoda pani słysząc to, zapłakała najprzód gorzkiémi łzami, potém rzekła sobie w duszy: »Niech się dzieje wola Boża! Milsza mi błoga swoboda niż wszystkie przepychy i dostatki." A mówiąc to, zbic-

gła lotem ptaka na dół, i połączyła się ze swoją dawną drużyną.

Gdy jej mąż do domu wrócił, szukano jéj długo wszędzie, lecz nadaremnie. Aż po niejakim dopiero czasie przybył znużony mąż do lasu, gdzie Cygani obóz swój rozłożyli. Przy blasku ogniska, które małe dziecko roznieciało, postrzegł on dwoje młodych ludzi z sobą siedzących. Byłato jego żona i ów śpiewak. Biédny opuszczony małżonek podsunął się ukradkiem ku młodéj parze i usłyszał swoję żonę skarzącą się przed młodzianem, jakich ona okropnych nudów w owym pańskim pałacu doznawała. Nieszczęśliwy mąż nie dał się jéj poznać, i wrócił niepostrzeżony z rozdartém boleścią sercem do zamku. Odtąd nie widział go nikt śmiejącego się, na żadnę kobiétę nie chce patrzyć, a jeżli przypadkiem jaki orszak Cyganów około zamku przeciąga, natenczas zamyka się w najodleglejszych komnatach, i czeka w żalu, aż póki ci synowie swobody się nie oddalą.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 27my i zawiéra: 1) Pytania zawiérające w sobie plan krótkiego do jednostajnego opisu pojedyńczych gospodarstw albo znaczniejszych części kraju. W myśli §. 3go Ustaw galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. 2) Uwagi nad wnioskami u nas z powodu spodziéwanych w Anglii zmian taryfy celnéj. Przez p. Alexandrowicza. 3) Nowy sposób ogrzéwania domów. 4) Wiadomość o odbytém drugiém głownem zebraniu c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. 5) Wiadomości handlowe. 6) Ogłoszenie względem odbiérania Tygodnika, należącego się tym panom abonentom, którzy go dotąd w redakcyi pobiérali. 6) Kandydat na posadę rządzcy.

Nakładem Kajetana Jabłońskiego wyszły zapowiedziane dawniej »*Powieści z życia towarzyskiego, przez Józefa Dzierzkowskiego*« — tom. 2. w 8ce, str. 265 i 376. — Ten z 7miu, częścią dawniejszych, częścią nowych powieści złożony zbiór dwutomowy należy do rzadszych témi czasami książek, które nie zawodzą obietnicy swego tytułu. Sąto bowiem prawdziwe, duszą i ciałem — »powieści« — zawierające nie, jak to zbyt często się zdarza, przemocą w ramę powieściową wciśnięte rozprawy metafizyczne, teoryje administracyjne, lecz istotne, ciekawe, rzeczywistym humorem i wymową płynące opowiadania. Toteż i dodatek »*z życia towarzyskiego*« nie jest próżną ozdobą tytułu, ale najtreściwszem jego oznaczeniem, a nawet poniekąd chroną całego dzieła. Gdyż o ile te powieści tylko lekko, niewykończenie rzuconémi szkicami być mają, o tyle są one niejako témwierniejszém odbiciem tego zmiennego, tysiącznolicowego i równieże nigdy nie wykończonego *perpetuum mobile*, które towarzystwem zowiemy. Jakoż szczególnie ta uderzająca wierność i prawda przedstawionych nam obrazów towarzyskich, ta prawda, która w każdéj z ich postaci jakąś rzeczywistą, niby znaną nam indywidualność postrzedz dozwala, są naszém zdaniem główną zaletą tych powieści. Co zaś ich autorowi, pod względem artystycznym, niezaprzeczoną wyższość nad samą podrzędną zasługą wiernego portrecisty nadaje, jestto szczérze poetyczne uświetnienie owéj rzeczywistéj a nieraz smutnéj prawdy przebijającém się wszędzie rzewném uczuciem piekniejszego nad to nasze »życie towarzyskie« życia i świata — co jak w ogólności, we wszystkich powieściach się odzywa, tak mianowicie niektórym, jak np. powieściom »Zemsta pana Bolesty« i — »Płacz i śmiéch« — nadzwyczajnego uroku udziela; i śmiało też rzéc możemy, że w całéj naszéj powieściowéj literaturze małoco tak pięknie i serdecznie opowiedzianego da się znaleźć, jak owe pomienione powieści. Nie mielibyśmy jednak szczéréj chęci sprzeczania się z czytelnikiem, gdyby on i wszystką resztę powieści całego zbioru zarównie piękną uznał.

Wiktor Każyński, znakomity kompozytor o którego utworach, a mianowicie o prawdziwie oryginalnych tańcach zwanych »Polki« jużeśmy dawniéj raz wspominali, został teraz kapelmistrzem cesarskiego teatru w Petersburgu mianowanym. Wspomnionych tu »Polek« jego, rozeszło się w krótkim czasie przeszło 10.000 egzemplarzy. Obecnie prze stawiają w Petersburgu jego operę »*Les pages du duc de Vendome*« — która we wszystkich dziennikach petersburskich najgłośniejsze pochwały zyskuje.

Wartość pracy ludzkiéj. Ilość żelaza w sztabach, kosztująca około 40 zł. pol., warta jest po wyrobieniu jéj: na podkowy 80 zł., na noże stołowe 1400 zł., na igły 2800 zł., na nożyki do piór 25.280 zł., na guziki i sprzążki 34.080 zł., na sprężyny do zegarków 2 milijony zł. pol.

Niezliczona ilość żyjątek. Do najosobliwszych dziwów, jakie geologija ostatniémi czasy przed światem odsłoniła, należy szczególnie odkrycie, iż owe nieskończenie małe żyjątka, których byt w naszych rzekach i jeziorach tylko za pomocą mikroskopu dostrzeżonym być może, równie też i w kopalnym, skamieniałym stanie się znajdują, — że całe pasma wzgórzów, jakoteż spodnia warstwa wielu rozległych krain, z samych drobnych kościotrupów tych żyjątek się składają, — i że wreszcie najwznioślejsze pomniki ręki ludzkiéj zbudowane są z kamieni, będących tylko skupiskami skamieniałych szczątków tych żyjątek, których jedynie uzbrojoném okiem dostrzedz można. Sławny berliński profesor Ehrenberg wykrył podobne żyjątka w krzemieniu, w opalu, w krédzie, i w wielu innych rodzajach kamieni. Równie też inni badacze przyrody uprawiali to ciekawe pole wiedzy ludzkiéj, i mianowicie w formacyjach krédowych takież żyjątka znaleźli. Piasek doliny paryzkiéj jest tak dalece témi mikroskopijnémi tworami przepełniony, iż podług ścisłego obliczenia 1 kubiczny cal ziemnéj masy, około 60.000 żyjątek zawiéra. Podobnież i w okolicach Wiédnia znajdują się liczne miejsca zawiérające nieskończoną ilość infuzoryjów. Jakoż zaprawdę — »w gęstwinie każdego ogrodu, w wodzie każdego zdroju są światy, napełnione żyjącémi tworami, a niezliczone, jak owe błyszczące kropki na niebie.«

Przemyślne wychowanie. W r. 1839m oddano zarządzcy ochrony dla ciemnych w Bostonie, dokt. Hove do leczenia małą dziewczynkę, którą ciężka choroba wzroku, słuchu, mowy i powonienia pozbawiła. Dziewczynka ta miała dopiéro lat cztéry, a utraciwszy wszystkie zmysły prócz zmysłu dotykania, żyła jedynie półmartwém życiem rośliny. A przecież powiodło się zacnemu lekarzowi udzielić jéj nie tylko wyobrażenia rzeczy zmysłowych, lecz owszem i nadzmysłowych pojęć o Bogu, nieśmiertelności i t. p. Przykład tego wychowania pozostanie nazawsze niezbitym dowodem przewagi rozsądnéj metody wychowawczéj nad wszelkiemi ułomnościami natury. — Dziewczynka uczuła głód, i musiała koniecznie żądanie swoje w jakiś sposob wyrazić. Dano jéj mleka; a gdy znowu głodną była, musiała tegoż samego pokarmu

żądać. Aby więc dać jéj wyobrażenie tego, czego żąda, kazał dr. Hove, na łyżce, którą jéj mléko dawano, umieścić wypukłemi głoskami to słowo: mléko, a tak znaleziony już był sposób udzielenia jéj rozmaitych wyobrażeń. Tymże samym trybem nauczono ją składania głosek w słowa, a słów w zdanie. Z czasem nabrała dziewczynka tak wielkiéj ochoty do tego zatrudnienia, iż się po całych dniach składaniem wyrazów zabawiała, i wkrótce znacznéj w tém biegłości nabyła. Jéj zmysł dotykania wydoskonalił się przeto do tak nadzwyczajnego stopnia, iż przez samę zmianę prądu powietrza, mogła rozeznawać ruchy osób, których się nawet wcale nie dotykała.

Kolosalny posąg św. Karola Boromeja. Miasteczko Arona, leżące u wybrzeża jeziora Maggiore, na stronie Piemontu, jest rodzinném miejscem św. Karola Boromeja, kardynała-arcybiskupa, urodz. 2go paźdź. 1538, zmarł. 3go listop. 1584. Rodzina Boromeo z Medyjolanu kazała w latach 1630 — 1650 na pamiątkę tegoż wielkiego świętego z jéj grona, wystawić jego posąg w kolosalnéj wielkości, wznoszący się na wzgórzu o półmili na północ od miasteczka Arona, a ulany z miedzi przez rzeźbiarzy Siro Zanelli i B. Falconi, z kosztem 1 milijona 100.000 franków. Wysokość samego posągu wynosi 66, a podług Simonyi'ego 72 stóp; podnóże z granitu ma 46, a podług Simonyi'ego 36 stóp wysokości. Olbrzymia głowa posągu może objąć cztéry osoby, w nosie może jeden człowiek wygodnie siedzieć; księga w ręku świętego mierzy 11 stóp 5 cali długości, ramiona mają 21 stóp 4 cale, objętość sukni 52 stopy. Prawa ręka błogosławiąc wyciągnięta jest naprzód. Ponieważ posąg wewnątrz jest próżny, przeto można rąbkiem szaty po żelaznych wschodach aż na wiérzch głowy wyleźć. Mając całkowicie przeszło 18 sążni wysokości, stérczy ten posąg w dal ponad jezioro Maggiore.

Zazdrosny basza. Około połowy maja wydarzył się między Gałaczem a Giurgiewo wypadek, który łatwo najsmutniejsze skutki za sobą mógł pociągnąć. Płynącym z Konstantynopola do Belgradu statkiem parowym podróżował pewien basza turecki wraz z swoim haremem, składającym się z 50ciu kobiét, które w kajucie damskiéj pomieszczone zostały, podczas gdy basza osobne zajął mieszkanie. Jednocześnie znajdował się tamże pewien młody Maltańczyk, który zapewne nigdy jeszcze tak blizko z haremem nie sąsiadował, a przeto zbyt wielką miał ochotę dokładniéj mu się przypatrzyć. Zakradł się więc cichaczem pod kajutę damską, która tylko zasłoną przedzielona była, zajrzał do środka, i zaspokoiwszy tak swoję ciekawość, miał już nazad powrócić, gdy wtem stojący na straży eunuch go dostrzegł i baszę o tém natychmiast uwiadomił. Zazdrosny basza, wściekający się na samą myśl, iż najdroższe jego świętości okiem niecnego Franka znieważone zostały, rzuca się rozgniewany na Maltańczyka i byłby go niezawodnie w sztuki porąbał, gdyby na szczęście kapitan okrętu był nie przybył i spokojności nie przywrócił. Lękając się jednakże, aby prędzéj czy późniéj do odnowienia walki nie przyszło, zabrał kapitan wszystkim podróżnym równie Chrześcijanom jak Turkom broń wszelką, i kazał ją do Dunaju wrzucić.

Liverpool. Widok tego ogromnego miasta handlowego, a mianowicie jego wszechświatowego portu, jest prawdziwie zachwycającym. Liczba przybywających tu rokrocznie okrętów dochodzi 18.000, podczas gdy w innych znacznych portach, jak np. w Hamburgu, zaledwie 4000 zawijają. Stosownie téż do téj ilości okrętów, jest tu w jednym niezmiernym porcie kilka pomniejszych, spaniale w skałach wykutych portów czyli *docks*, w których po 2000 okrętów wygodnie na kotwicy stać mogą. Każda strona świata ma swój osobny *dock*; i tak jest ich 2 dla Indyjów Wschodnich, 1 dla Indyjów Zachodnich, 1 dla Północnéj Ameryki i t. d. Tłumy statków parowych krążą nieustannie około wybrzeżów. Osobliwie ciekawy widok przedstawia cmentarz znajdujący się wewnątrz ogromnéj skalnéj jaskini. Pierwszy popieracz systemu kolei żelaznych, minister Huskisson spoczywa na tym cmentarzu. Sama manchester-liwerpoolska kolej żelazna tem się odznacza, iż przez długą staj tunelem pod miastem bieży i dopiéro śród miasta przy dworcu kolei żelaznéj, na jaw wychodzi.

Szlachetny zakład. Przy tegorocznych wyścigach w Wersalu zakładano się prawdziwie na zabój. Najbardziéj przesadzali się anglomanowie zpod trybun, zajętych wieńcem pierwszych piękności paryzkich. Jeden z tych anglomanów ozwał się umyślnie tak głośno, aby go damy słyszały: »Stawiam 20 luidorów na Rigolettę przeciw Marikicie.« — »Zgoda na 20 luidorów!« odpowiedział jakiś głos w tłumie. Modniś który stawkę zawnioskował, nie znał wcale swojego przeciwnika, a wygrawszy zakład — bo Rigoletta pierwsza mety dotarła — zapytał głośno, kto się z nim założył. — »Ja,« odrzekł jakiś młody mężczyzna, i dobywając sakiewki dodał: »Natychmiast panu zapłacę.« — Obaj ujrzeli się teraz po raz pierwszy w swojém życiu. Obrońca Marikity podał zwycięzcy 20 luidorów w złocie. »Pan się mylisz,« odrzekł tenże, »zakład nasz nie był tak wielki. Podług przyjętego pomiędzy nami zwyczaju, luidory mają znaczyć tyle co franki; jestto tylko dla dodania naszym zakładom większego blasku w oczach publiczności, a zwłaszcza damskiéj. Zatem winieneś mi pan nie 400 ale tylko 20 franków.« — »Nie, mój panie,« odpowiedział przegrany, »te wybiegi są mi wcale nieznane; przegrałem 20 luidorów, i proszę pana przyjąć takąż kwotę, gdyż byłbym jéj także zażądał, gdybym był wygrał.« — »Ja zaś byłbym jéj nie zapłacił;« odpowiedział przeciwnik, i już, w skutek przesadzonéj z obudwóch stron grzeczności, zanosiło się na bardzo żywą sprzéczkę, a wreszcie miało już przyjść do wyzwania. Na szczęście znalazł się prawdziwy filozof pomiędzy sportsmanami. Ten wdał się między obiedwie sporne strony i rzekł: »Jeden z panów chce koniecznie 20 luidorów zapłacić, a drugi nie chce ich przyjąć; więc dobrze — ja te pieniądze przyjmę. W ten sposób jeden przegraną zapłaci, a drugi wypłaty nie przyjmie, a tak zakończy się sprzéczka. Jestto wypadek podobny do puścizny, do któréj żadnego dziedzica nié masz. W takim razie publiczny skarb odziedzicza. Pozwólcie mi tedy panowie, abym tu miejsce publicznego skarbu zastąpił. A dla zatarcia wszelkiego śladu téj sprzeczki, przeznaczam odziedziczoną kwotę na ucztę, na którą tak obiedwie sporne strony, jakoteż sekundantów i świadków najuprzejmiéj zapraszam.«

Kraina szczęśliwości małżeńskiéj. Sądownictwo północno-amerykańskiego państwa Pensylwanii zawyrokowało w przeciągu dwóch tygodni 32 rozwodów. Jużci musi to być kraina aż do zbytku obfitą w szczęśliwość małżonków, kiedy oni tem szczęściem tak obojętnie pomiatają.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.